SIEWCA

ORGAN POZNAŃSKIEGO ODDZIAŁU
STOWARZYSZENIA CHRZEŚCIJAŃSKO-NARODOWEGO
NAUCZYCIELSTWA SZKÓŁ POWSZECHNYCH

ROK III POZNAŃ, LUTY 1939 NR 2

ZMIANA NA STANOWISKU KURATORA

Z dniem 1 lutego 1939 r. przeszedł na własne życzenie w stan spoczynku kurator Okręgu Szkolnego Poznańskiego pan dr Jan Jakóbiec.

Przez krótki czas swej działalności na stanowisku Kuratora zyskał sobie ogólny szacunek nauczycielstwa i społeczeństwa wielkopolskiego.

Z uznaniem podkreślić wypada, że kurator szkolny p. dr Jakóbiec doceniał należycie w wychowaniu zasady chrześcijańskie i narodowe. I był nie tylko głosicielem, ale i realizatorem tych fundamentalnych zasad, czego dowodem niektóre jego okólniki dotyczące wychowania.

W imieniu Stowarzyszenia pożegnali p. Kuratora pp. prezes Lorkiewicz, Barlik i Kitka, dziękując za obiektywne ustosunkowanie się do spraw szkoły i nauczycielstwa. życząc Mu szczerze zasłużonego wypoczynku po spełnieniu obowiązków.

W dniu 1 lutego 1939 objął urzędowanie nowy Kurator Szkolny p. dr Stanisław Stetkiewicz, ostatnio naczelnik wydziału prezydialnego w Min. W. R. i O. P.

Poznański Oddział Okręgowy Stowarzyszenia Chrześc.-Narodowego Naucz. Szkół Powsz. witając p. Kuratora, życzy Mu pomyślnych wyników w pracy nad dalszym rozwojem i podniesieniem szkolnictwa w Okręgu Szkolnym Poznańskim.

W pierwszych dniach lutego udała się do p. Kuratora delegacja Zarządu Okręgowego.

„DYNAMIZM" I ROBOTA

W dobie modnej na wszystkich odcinkach aktywności, dynamizacji drzemiących sił, gdy słowa: bierny, skromny, pokorny — niemal wykreśla się ze słownictwa, warto przyjrzeć się formom aktywności społecznej w naszych szeregach. Tak się jakoś przyjęło, że mianem człowieka twórczego chrzci się tego, który się szasta, błyska piorunami słów to tu, to tam; zadziwia śmiałością inicjatywy na wszystkich odcinkach, wszędzie jest, zawsze się znajdzie, by zaakcentować, że tworzy i działa. Tych hasających źrebców na zielonej łące życia znamy już dobrze. I właśnie od nich lecą na głowy ludzi spokojnych, rzetelnie pracowitych, gorące słowa grzmiące o dynamizmie, aktywności, rozpędzie twórczym, szaleństwie czynu. No i z czasem typ pędziwiatra społecznego staje się modny, uznany, poszukiwany. Nic to, że żadnej roboty nie wykona doskonale, że wiele spraw stoi jego urokiem, jego szumem i powiatową chwałą. A gdy jeszcze podlegają mu inni, potrafi porwać do czynu najoporniejsze jednostki wbrew ich chęciom i zdolnościom. No i robota społeczna idzie. Czasem kończy się odznaczeniem, a czasem ... kratkami. Bywało, rozmaicie bywało.

Nam tutaj, synom prastarej, zawsze statecznej dzielnicy, nie imponowały nigdy żadne lawiranty i głośniki społeczne. Wolimy robotę porządną, której matką długomyślność a ojcem rozsądek. Ale gdy się czegoś weźmiemy, to już na całego, po naszemu, za bary, z zapałem, na udry — do ostatecznego zwycięstwa. Dlatego też mamy uporczywy wstręt do wszelakiego wielomówstwa, owijania spraw w bawełnę, krętactwa i blagi. Wolimy zawsze najpierw dobrze się przyjrzeć, przysłuchać, przekonać a dopiero potem, po rozwadze, walić co sił do zwycięstwa. I to drogą prostą.

Nam tu o żadnych dynamizmach, twórczych porywach i innych frazesach prawić nie potrzeba. W nas tutaj tkwi odwieczna moc piastowska, która zbudzona i mądrze zorganizowana potrafi na przykład iść ławą na wschód, by ratować ginący w morzu żydostwa polski handel. Trzeba jeno tą siłą mądrze kierować. A choćby czasem na błędny zeszła tor, działając pod przymusem i presją — to jednak zawsze powróci na swój szlak dziejowy, by tworzyć rzeczy wielkie, nieprzemijające, nie dla blasku czy uznania, ale by kuć w granicie dziejów słowo olbrzymie, potężne: POLSKA.

Dla niej warto budzić drzemiące siły w sobie i innych, jednak musi ona żyć nie tylko na zewnątrz nas, ale przede wszystkim w sercu. Polska! Służymy jej twardą robotą powszednich dni w szkole, świadomi ogromnej odpowiedzialności jaką na barki nasze złożono. Ale służymy jej w życiu społecznym — w naszym wypadku — w życiu organizacyjnym. To nasz odcinek, nasza wysunięta placówka, z której wycofać się nie wolno. Nakazem chwili

jest dziś jedno słowo: naprzód! Widome rezultaty winny być bodźcem dla nowych natchnień. Nigdy nie dokonamy wszystkiego, każdy krok naprzód ukazuje nowe horyzonty, nowe zadania. Dziś skończyły się czasy defensywy, korzystania z koniunktury — dziś ten idzie w przedzie, kto sobie miejsce w pierwszym szeregu wykuł własnym wysiłkiem i zbiorowym mozołem. Dziś z racji wyznawania takiej a nie innej ideologii, jesteśmy — Stowarzyszeniowcy — skazani na marsz w pierwszej kolumnie. Na swoim odcinku musimy być przodownikami, nie bierną masą.

Ale robota nasza społeczno-organizacyjna niech zawsze będzie wolna od szumu, wrzawy, reklamiarstwa, niech będzie podobna zawsze do twardej, żmudnej, upornej orki chłopa wielkopolskiego, nigdy zaś niech nie przypomina budy nośpłata jeżdżącego z jarmarku na jarmark. Bo nasze sprawy zbyt są wielkie, by nimi potrząsać od parady. Robiąc sumiennie swoje, spełniając twarde obowiązki organizacyjne w duchu pokoju i pewności zwycięstwa, uchronimy się przed fanfaronadą i tromtadracją działaczy świątecznych. A okazji do działania nie brak.

Na przykład. Chlubimy się „Gigantami", ale czy je znamy, czy uczyniliśmy je książką modną w naszym środowisku? Albo o książce Henryka Glassa — czy rozpętaliśmy dyskusję na jej temat, czy daliśmy ją w ręce tych, którzy powinni ją przeczytać?

A nasze pisma dla młodzieży. Czy są wszędzie na naszym gruncie? czy potrafiliśmy przekonać rodziców Polaków i katolików, że to pisma warte poparcia?

Czy dla pozyskania do naszych szeregów kolegów niezrzeszonych uczyniliśmy już wszystko? Czy po pierwszej i trzeciej odmowie przekonywaliśmy o zwycięstwie naszej idei po raz piąty i dziesiąty aż do skutku?

A w robocie organizacyjnej. Czy wciąż jeszcze zarząd to: „oni" — czy już przekonaliśmy się, że organizacja to wielkie My, w którym by brać, trzeba od czasu do czasu samemu coś dać? Typ kandydata rozpoczynającego swoją znajomość z nami odwiecznym: „a co mi dacie?" — niech raczej szuka odpowiedzi gdzie indziej, pod innymi znakami. My wspierajmy robotę na ludziach, którzy pytają: „co robicie" — „co można zrobić"?

Tak, robota sama idzie w ręce. Jest wokół nas — jest jej wiele, ale trzeba uczynić pierwszy krok, a potem już się wpada w rytm tego marszu, który grzmiał na zjeździe w Poznaniu: marszu zwycięstwa. Iść muszą wszyscy — spoczywać mogą jedynie ci, którzy już się zasłużyli i wysłużyli — poza tym nikt, kto zdrów i mocny, nie może hamować działania biernym wyczekiwaniem. Bo nie ma na co czekać!

Stanisław Strugarek

W SŁUŻBIE WROGICH INTERESÓW

Bankructwo materialistycznych i naturalistycznych haseł wychowawczych wykazało się w nadzwyczaj krótkim czasie. Pisanie o tym byłoby niepotrzebnym powtarzaniem rzeczy powszechnie znanych nie tylko wychowawcom. Obserwując wyniki ostatnich lat. wszyscy, nawet zwolennicy wychowania naturalistycznego, orzekają zgodnie, że środki chybiły celu. Różnica zaznacza się jedynie wtedy, gdy chcemy ustalić przyczyny.

U zwolenników wychowania materialistycznego i naturalistycznego utrzymuje się nadal pogląd, że człowiek z natury jest dobry. W wychowaniu nie potrzeba ani łask nadprzyrodzonych ani objawienia lub więzienia. Trzeba natomiast poprawić warunki bytu u mas, a wychowanie modernistyczne wyda wspaniałe owoce. Jedynie niedola czyni człowieka złym. Wnioski dalsze wyprowadza się na starą nutę: niedoli winni kler i burżuazja. Te „czynniki" trzeba usunąć, wtenczas wszystko będzie w porządku. Zachodzi tu odwrócenie środków i celów. Dotychczas się mówiło: przez oświatę do przebudowy świata. Brzmiało to pięknie lecz marzycielsko. Oświeceni mogą być również złodzieje, bandyci i gorszyciele. Lecz zamiast powiedzieć sobie: mea culpa i modernizm wychowawczy odrzucić, mówi się teraz: wywiedźmy społeczeństwo z biedy materialnej, stwórzmy doskonałe szkolnictwo, a okaże się, że człowiek jest dobry i wychowanie naturalistyczne osiągnie dobre wyniki. Wszystko, co się sprzeciwia „sprawiedliwości" według recepty Marxa, jest automatycznie wrogiem oświaty i wychowania szerokich mas. Oświatę i wychowanie pojmuje się swoiście. Jest to naturalna konsekwencja imperializmu, którym jest (bo musi być) nacechowana każda doktryna. Wychowanie musi być tej doktrynie podporządkowane. Nieukom zdołano wmówić, że jedynym twórcą i reprezentantem idei uspołecznienia zdobyczy wiedzy i kultury jest socjalizm.

Obecnie socjalizm znalazł się w błędnym kole. Nie wiadomo już, czy przez wychowanie do dobrobytu (przez wychowanie naturalistyczne), czy przez „wyrównanie dóbr" umożliwić wychowanie. Koło gdzieś trzeba będzie przerwać. Przerywać je będą masy, a te raczej do „wyrównania dóbr" są skłonniejsze, niż do wyrównania wychowania. Więc tędy, którędy poszła Rosja i czerwona Hiszpania. Tragizm polega na tym, że przy wyrównywaniu krzywd cały dorobek kulturalny równa się — z ziemią. „Uzasadnienie" tego postępowania jest następujące: żerując na krzywdzie mas, narastała przez wieki z poparciem kleru kultura arystokracji. Jest ona tak „skonstruowana" i tak zakorzeniona, że nie można na niej dobudowywać i nie można się z niej otrząsnąć jak przez rewolucję.

Hej, gromadą w stare mury,
czas rozwalić całą przeszłość w gruz,
a żelaznych rąk wichurą
w krąg obudzić twórczy mus!
Idzie nowe pokolenie,
jak huragan mechanicznych jazd,
żeby wyrwać z ziem kamienie
do budowy nowych miast.
W ramionach młot, stalowy młot,
on pracy znak, bojowy znak...

Przetłumaczone to na prozę brzmi: „Dałoj, gramotnyje!"

I tak u kresu działania schodzi się interes wychowania naturalistycznego z interesem pachołków Stalina.

Władysław Boroch

KOLUMNA PRELEGENTÓW

(FELIETON SPOŁECZNY)

Temperatura dyskusji podniosła się jeszcze o jedną kreskę. Poszło o wieś.

— Na wsi — głód i chłód.

— Ciasnota.

— Ciemnota!!!

— Słyszycie, panowie inteligenci z miasta?!

— Z oświatą — na wieś! — zagrzmiało z czyjejś piersi, raczej rozkazem niż prośbą.

Panowie inteligenci poruszyli się z miejsc. Próbowali coś tam powiedzieć: zaprzeczyć czy wyjaśnić. Zdawało się nawet, że zacny p. dr B. zamierza pierwszy zaofiarować swoje usługi wsi jako wykładowca.

Napróżno. Rozpoczęte zdania utonęły w ciżbie głosów.

— Jak można. Co za niedelikatność! — potężnym basem przycinał z lekka prezes Kółka Rolniczego z Grajdołka.

— Panowie inteligenci... zajęci, bardzo zajęci.

— A jakże: w „klubowym" brydża młócą do północy, a ten im głowę zawraca jakąś tam oświatą w Kaczym Dołku.

— Trrr ... odezwał się tym razem dzwonek, wzywając rozpierzchłych po korytarzach dysputantów do sali na zakończenie obrad Powiatowego Zjazdu Inteligencji Katolickiej.

Wśród licznych postanowień Zjazdu największy entuzjazm wywołały następujące (zgłosili je: profesor miejscowego gimnazjum i prezes Okręgowego Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży Męskiej):

„Wyrażamy przekonanie, że w przełomowym dla ludzkości i narodu polskiego czasie — polska inteligencja katolicka winna:

1. gruntownie zapoznać się z katolicką myślą społeczną, wyłożoną w encyklikach „Rerum Novarum“ i „Quadragesimo Anno“;
2. szerzyć katolicką myśl społeczną wśród szerokich sfer społeczeństwa.

* * *

W kwadrans później otwarły się cicho drzwi pokoju klubowego w miejscowej kawiarni.

— No, nareszcie. Jest! Jest „czwarty“.

W mig roztasowano karty. Wtem nieoczekiwanie wtargnął ksiądz prefekt miejscowego gimnazjum. Uśmiechnięty jak słońce — rzucił zaraz od proga:

— Wiecie, panowie, mam genialną myśl! Rzućcie tylko te „obrazki“, bo tu się zanosi na dłuższą „awanturę“.

Ksiądz prefekt przyjął postawę w stylu pomnikowym. Z miną i gestem pierwszego prezydenta Paneuropy oświadczył:

Niniejszym otwieram pierwsze organizacyjne zebranie Katolickiej Kolumny Prelegentów i ogłaszam się samowzwańczo przewodniczącym tegoż zebrania. Porządek obrad następujący:
1. Zagajenie — „które już nastąpiło“.
2. Jak urzeczywistnić postanowienie dzisiejszego Zjazdu: „Z oświatą — na wieś!“

W odpowiedzi zagrzmiała salwa śmiechu.

Zato po dwugodzinnej ożywionej i nader serdecznej rozmowie wszyscy obecni utworzyli piątkę prelegentów, z której każdy podjął się w pięciu z góry ustalonych miejscowościach wygłosić wykład z dziedziny społecznej. Pięć razy pięć = 25. A więc: razem postanowiono wygłosić 25 referatów, co umożliwiło zorganizowanie w powiecie pięciu „tygodni społecznych“.

Czesław Maliński

NA BAŁKANACH

WYJAZD DO TURCJI

„Pracuj na lądzie, odpoczywaj na morzu“ — takie zachęcające hasło głoszą plakaty polskich linii okrętowych. Nas dzielą od polskiego morza tysiące kilometrów, za to codziennie napawamy oczy pięknym krajobrazem czarnomorskim. Wypłynąć tylko łodzią na morze, to nie honor szanującego się turysty. Jedziemy zatem statkiem naprzełaj przez morze w odwiedziny do prawdziwych Turków. „Car Borys“ będzie nam służył przez cztery doby jako mieszkanie z wiktem. Lokujemy się na ciasnym statku w kabinach i na pokładzie (z braku miejsc). Towarzystwo jest międzynarodowe, ale my, Polacy, jesteśmy liczbowo górą. Niemcy, Szwedzi, Rumuni, Bułgarzy, Czesi, Turcy, jakiś zabłąkany Francuz — oto nasi współtowarzysze doli czy niedoli, zależnie od kaprysów morza. Od chwili „załadowania“ tj. od godz. 15 do kolacji, wszyscy ciekawi sterczeli na pokładzie i chłonęli w siebie kojącą ciszę morską.

Inni szukają towarzystwa cudzoziemców, aby u „źródła" zaczerpnąć wiadomości o stosunkach panujących w ich ojczyźnie. Gorąca dyskusja między Polakiem a Czechem groziła lada chwilę eksplozją. Gong na kolację przeszkodził wybuchowi nieporozumienia międzynarodowego. Siedzimy w jadalni, studiujemy „menu" — nazwy potraw, choć pisane w języku niemieckim, kryją w sobie głęboką tajemnicę. Zaczyna się spożywanie darów Bożych, a statek kołysze się, kołysze coraz bardziej, a w oczach się dwoi, a w oczach się troi, a niewinne kurczę na talerzu rośnie do rozmiarów potwora, a głosy towarzystwa przy stole zamieniają się w przykre brzęczenie. Ostatni przebłysk świadomości: uciekaj od stołu... Piękny... „odpoczynek na morzu". Łóżko! ucieczko trapionych chorobą morską, choć ciasne i niewygodne, bądź błogosławione!

Nad ranem statek wpływa do Bosforu. Orzeźwiający zefirek zwiewa z twarzy ślady choroby. Pal licho chorobę, warto ją było przebyć, aby podziwiać wspaniałe widoki, które rozrzutna ręka przyrody przed nami roztacza. Brzegi cieśniny to pagórki, których szczyty częstokroć ukoronowane pałacykami lub fortecami. Mury warowne pną się od samego morza aż po wierzchołek wzgórza. Bosfor — to strażnica graniczna Turcji, strzeże zazdrośnie wjazdu do dawnej stolicy. Soczyste łąki, wioski z niskimi domkami towarzyszą nam przez całe 23 km drogi. Słońce dla nas niełaskawe, nie ukazuje się wcale. Pierwszy raz pozdrawia nas nasz dobry znajomy z Polski: deszcz, właściwie tylko jego przedsmak: kapuśniaczek. Powoli wyłaniają się spoza osłony deszczu jakieś igły wbijające się w niebo: to minarety. Stambuł — Instanbul pozdrawia przybyszów. Gardziel zatoki się rozszerza, po brzegach piętrzą się masy domów, przed nami półwysep z legendarnym serajem i — jesteśmy w porcie. Zaczyna się zwiedzanie. „Zdobywanie" wieży Galata stanowi próbę wytrzymałości dla truposzów ze statku. Widok na całe miasto, Bosfor, Złoty Róg, wybrzeże azjatyckie — to nagroda za poniesiony trud. Po obiedzie krótka drzemka. Wtem rozlega się złowieszcze słowo: „Nattaführung in 10 Minutem Abfahrt!" Nie pomoże narzekanie; trzeba wsiadać do czekających już samochodów i oglądać klejnoty miasta. Na oglądanie zgoda, ale na wąchanie — nie. Biedne wrażliwe nosy są skazane na straszne męczarnie. Co za zaduch w tym olbrzymim kłębowisku ludzkim! Oczy błądzą ciekawie dokoła: niestety egzotyka wschodu przepadła wraz z reformami Atatürka. Ani jednej zakwefionej kobiety, ani jednego Turka w fezie, ani barwności stroju. Tylko brudni tubylcy i wstrętne, jakimiś okropnymi odorami przepojone powietrze przekonywują turystę, że jest w Turcji. Rozczarowanie maluje się na obliczach zwiedzających. Największą atrakcją tego dnia — to muzeum Hagia Sofia. Arcydzieło chrześcijańskiej architektury, chluba cesarza Justyniana, przez 5 wieków meczet — dziś wraca do dawnego nieporównanie pięknego wyglądu, ale jako muzeum. Muzeum starożytności, hippodrom z obeliskiem cesarza Teodozjusza, kolumna lwów z Delf, kolumna-piramida Konstantyna, stare mury, świadkowie wspaniałego Bizancjum, kilka meczetów — oto dawka, którą trzeba strawić w ciągu kilku godzin podczas objazdu miasta. A jaka to jazda!? Tumany kurzu przed nami, za nami, obok nas. Ulice kręte, ciasne, pełne wybojów. Przepych w meczetach kłóci się z biedotą otoczenia. Tzw. niebieski meczet, jedyny z sześcioma minaretami, przygniata wspaniałością filarów wykładanych niebieską porcelaną i pięknem pu-

szystych dywanów. W jednym z mniejszych meczetów, dawniejszej świątyni chrześcijańskiej, wydobyto na światło dzienne przepiękne freski z XIII w. i dom modlitwy przedzierżgnął się również w muzeum. W podziw wprawiają cysterny podziemne, które zaopatrywały w wodę rezydencję cesarzy bizantyjskich. Pałacowa cysterna, wysoka jak krypta kościelna, na trzystu sześćdziesięciu przepięknych kolumnach wspiera sklepienie, dzielące je na równe długie nawy. Dół kolumn kąpie się w wodzie. Prawdziwie zaczarowany pałac podziemny. Przy otwierających się schodkach kołysze się łódka. Woda czarna jak Styks, łódź czeka na gotowych do przejazdu. A gdzie Charon?

Przykre wrażenie i niesmak wywołują małe, zaniedbane cmentarze tuż przy domach od strony ulicy. Duże cmentarze jeżą się od nagrobków i — chwastów. Islam nie uznaje kultu dla umarłych. Wierny pomocnik proroka Eyub doczekał się własnego grobowca tuż przy bogato marmurami zdobionym meczecie, niedostępnym dla giaurów. Ściany otaczające dziedziniec — z marmuru, piękne koronkowe fryzy — z marmuru, posadzka — z marmuru. A na tych cennych kamieniach roi się od bocianów, gołębi i innego ptactwa! Celem zaprowadzenia porządków trzebaby sprowadzić szwadron zamiataczy ulic!

Stateczek wiezie nas przez wody Złotego Rogu. Gdzie się podziały czarowne pałace, gdzie ich w słońcu lśniące dachy? Gdzie rozkoszne ogrody? To było — kiedyś, dawno, przed setkami lat, a dziś nad tym w pieśniach i powieściach opiewanym Złotym Rogiem rozsiadła się szpetota budynków portowych podłego gatunku. Sławne bazary to tandeciarnia, w której przekupnie żerują na — powiedzmy delikatnie — snobiźmie cudzoziemców. Sen o rwącej oczy barwności Wschodu rozwiał się jak bańka mydlana. Może go uratuje Seraj? Zobaczymy. (C. d. n.)

Władysława Skrobalska

ŻYCIE ORGANIZACYJNE

ODZNACZENIA

Kol. Maliński Józef — Polskie Olędry, p-ta Dobrzyca został odznaczony srebrnym krzyżem zasługi za pracę kulturalno-oświatową.

OD REDAKCJI

W następnym numerze ukaże się m. i. artykuł ks. prof. Stanisława Skazińskiego poświęcony zmarłemu Ojcu św. Piusowi XI — twórcy encykliki: O chrześcijańskim wychowaniu młodzieży.

Wydawca: Zarząd Okręgowy Poznańskiego Oddziału Stow. Chrześcijańsko-Narodowego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych w Poznaniu, R. Szymańskiego 4 m. 6
Redaktor: St. Strugarek, Poznań · Adres Red.: Poznań, R. Szymańskiego 4 m. 6

Odbito w Rolniczej Drukarni i Księg. Nakładowej, Poznań, Sew. Mielżyńskiego 24